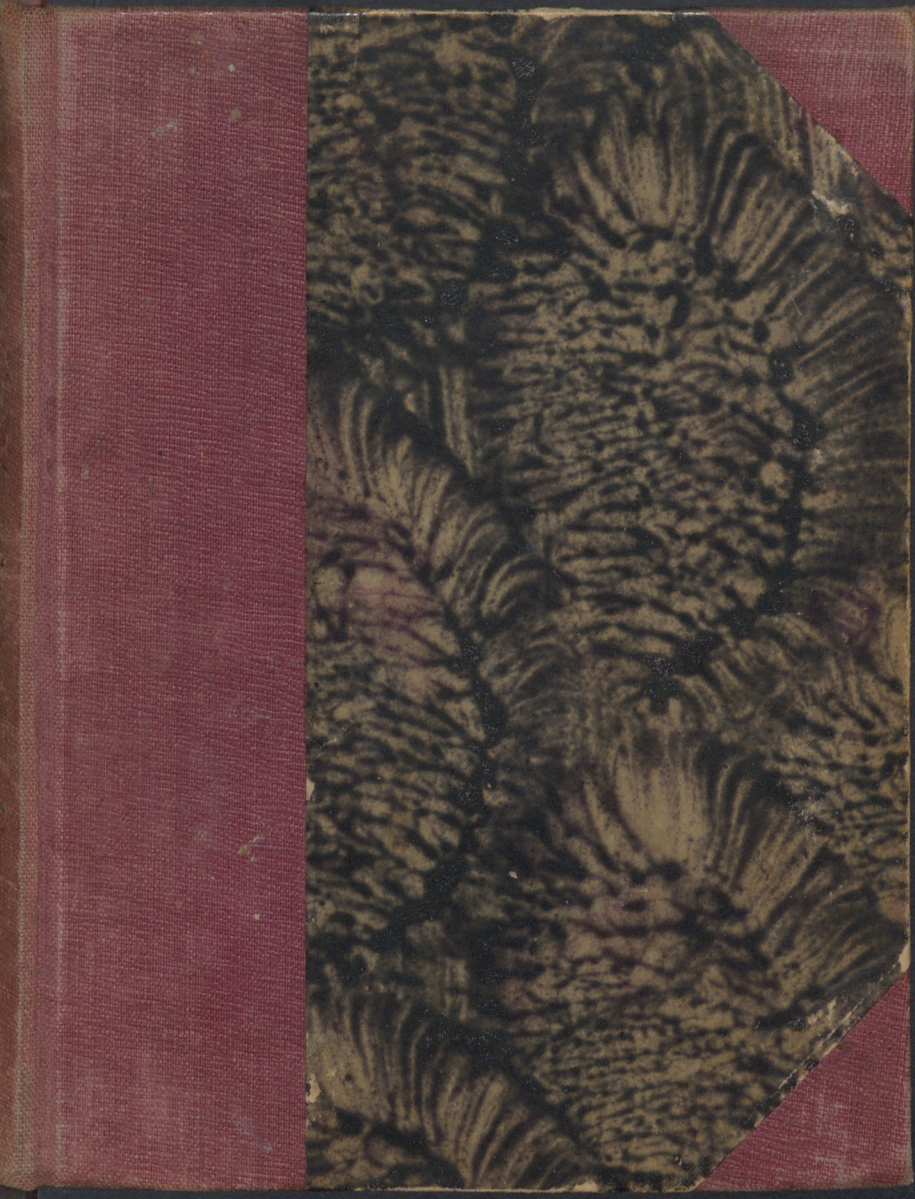
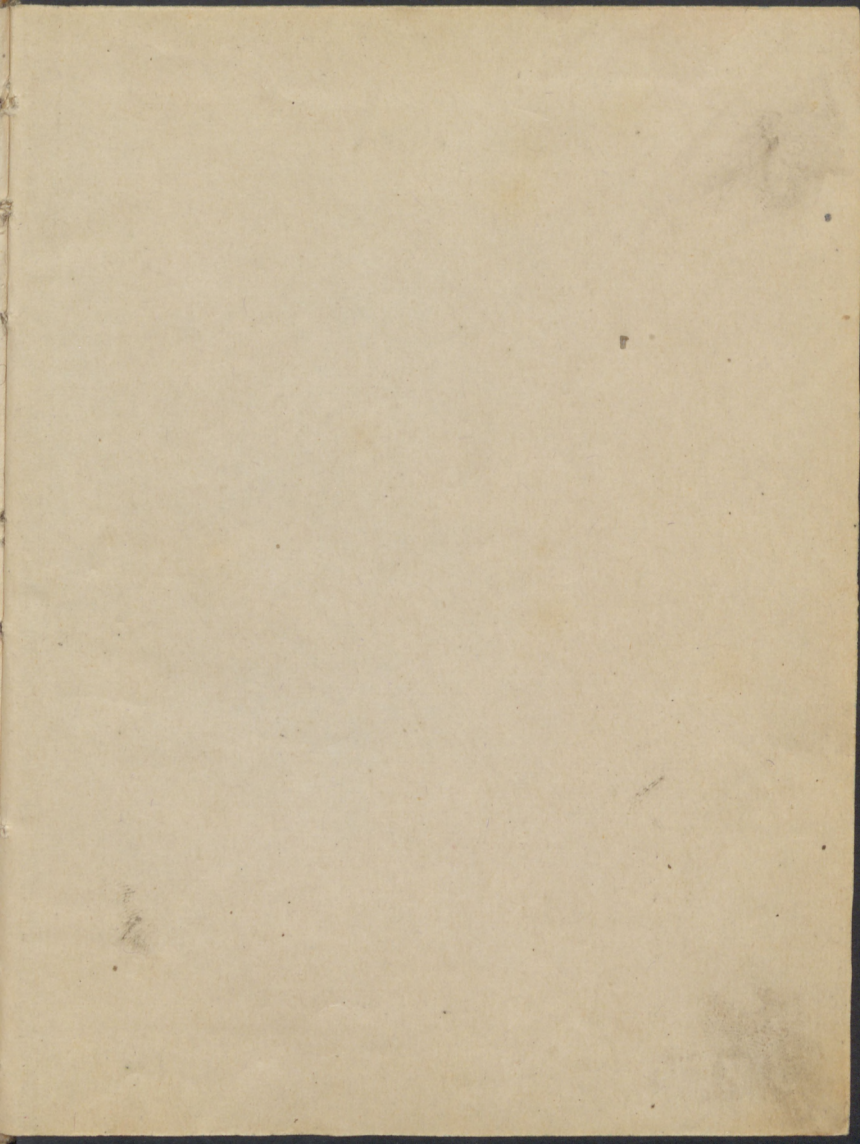






FLORENCE BARKLAY
(Autorka „Jane“)

FALA, CO NIE WRACA

(THE WHEELS OF TIME)

PRZEL. Z ANG.
Z. CHRZANOWSKA.



POZNAŃ 1918.
Czcionkami drukarni nakładowej Braci Winiewiczów
(właściciel Józef Winiewicz) Berlińska 5.

Nr ~~59 522/C~~



821.141-3

Wojewódzka Biblioteka Publiczna
w Olsztynie



010-053939

Akc. w Nr 18 / 07 / C

Akc. z Nr 108 / 87 / C



Doktór Brand stał we drzwiach z ręką na klamce i patrzył w głąb pokoju żony.

Salonik niezem nie zdradzał mieszkańców miasta ani ludzi pracy. W bladozielonym i białym tonie, wyłożony miękkim kobiercem, pełen wiosennych kwiatów — cichy, świeży, wonny.

Stojąc tak we drzwiach, doktor słyszał dźwięki niecierpliwie szarpanego dzwonka przy drzwiach frontowych, potem kroki przechodzącego przez hall Stoddarta, i uprzejme jego zapraszanie „proszę tędy”; następnie ciężki, ponury, albo szybki i nierówny chód przybywających, zdradzający już zdala ich stan psychiczny i wreszcie zamykanie drzwi biblioteki, oznaczające,

że nowy pacjent powiększył liczbę przeglądających czasopisma w poczekalni i przypatrujących się bezmyślnym wzrokiem krajobrazom na ścianach.

Dawniej poczekalnia była jednocześnie jadalnią doktora; lecz jeszcze przed ślubem młoda pani zaprotestowała przeciw temu. Znajdowali się wtedy oboje w jej kwiatowym ogrodzie; on jej tłumaczył rozkład i urządzenie przyszłego ich mieszkania.

— Ależ Deryku, zawołała z przerażeniem, podnosząc ku niemu ręce, pełne świeżo zerwanych róż — mielibyśmy jadać w pokoju, gdzie twoi okropni pacjenci godzinami wysiadują, zostawiając po sobie najwstrętniejsze zarazki zakaźnych chorób?...

Doktor pochwycił rączki i róże, pociągnął wszystko ku sobie i patrzył rozbawionemi oczyma w jej śliczną twarzyczkę.

— Flower, ty mój cudny, wonny kwiecie! To szaleństwo zabierać cię stąd w zgiełk i gwarne życie Londynu!... Lepiej było zostawić cię w wśród twoich róż i kwiatów!.. Niestety, nie czas dziś o tem myśleć. Nie mogę porzucić Wimpolestreet i... tu głos jego drgnął wzruszeniem — nie mogę żyć bez ciebie...

Puścił jej ręce i ujął w dłonie podniesioną ku sobie główkę narzeczonej.

— Cóżeś ty zrobiła ze mnie Flower?.. zawsze sobie wystarczałem, a teraz żyć bez ciebie nie mogę...

Patrzył jej w oczy płomiennym wzrokiem.

Spojrzała słodko.

— Deryku, po nich muszą tam pozostać obrzydliwe bakcyle...

Ręce doktora opadły.

— Dziecko drogie, odrzekł spokojnym i zwykłym już głosem — czyż nie mówiłem ci, że jestem psychiatrą, że pa-

cyenci moi, to nie chorzy na zakaźne choroby, jak ospa, tyfus i szkarlatyna.

— Ale zostawiają straszne chorobliwe myśli, a to jeszcze gorsze. Dreszcz mnie przejmuje, gdy sobie uprzytomnię, że mogłabym jadać w pokoju, gdzie takie myśli się gnieźdzą. A pamiętasz ten nie-mądry artykuł, który mi czytałeś, że psychiczne wrażenia, poczęte w wysokiem natężeniu umysłu, mogą zostawić ślady na ścianach i meblach — i tem się tłomaczą też historye o duchach. Zapomniałam, kto go napisał, a ty nie pamiętasz? Jak to dowcipnie z twojej strony!... O, nie! nie mówiłam, że głupi, albo chciałam powiedzieć „interesujący“. Naturalnie! Widzisz jak dobrze zapamiętałam, choć myślałeś, że nie uważam. Jestem pewną, że to prawda, o tych okropnych myślach, tkwiących w meblach, a choć Stoddart sprząta starannie pokoje, nie może ich wszystkich wymieść i siedzie-

libyśmy otoczeni niemi... pomyśl, Deryku!...

Śliczne jej oczy patrzyły z przerażeniem.

Doktor śmiał się. Jak łatwo mężczyznom śmiać się przed ślubem!...

— Masz słuszość, Flower, najłatwiej pobić mężczyznę jego własnym argumentem. Przemebujemy dom. Będziesz miała salon, jadalnię i buduarę na pierwszym piętrze a ja z moimi pacjentami zajmimy parter, możesz się z nimi wcale nie spotykać. A teraz, daj mi przyrzeczony pączek róży do butonierki i chodźmy nad rzekę, bo nie lubię tego ogrodu, gdzie nam się wszyscy z okien przypatrują.

.

Siedem lat minęło od tego czasu, a teraz zdawało się nieraz doktorowi, że życie jego jak ten dom piętrowy podzieliło się na kilka odrębnych działów.

Na pierwszym piętrze, w apartamen-

tach żony, żył tylko uczuciem. Rzadko kiedy coś tyczącego się jego zawodowej pracy wkładało się w to królestwo serca.

Piętro wyżej zamieszkiwały dzieci. Już dwie pary małych stopek tupotały tam bezustannie, wesołe głosiki rozlegały się radośnie; śliczna jak kwiatek twarzyczka dziewczynki zaglądała właśnie ku niemu po przez balustradę schodów, podczas gdy starszy nieco od niej chłopczyk z przejęciem majstrował coś koło zepsutego królika, naśladując tak komicznie wiernie ruchy i sposób ojca, że wydawał się prawdziwą miniaturką doktora.

Do suterenu, gdzie była kuchnia, doktor nie zaglądał wcale; z uśmiechem pomyślał, że zdrowemu człowiekowi nie przychodzi wcale do głowy troszczyć się o swój narząd trawienia.

A na parterze, między częścią gospodarczą a pierwszym piętrem, umieścił swą wiedzę, swą niezmordowaną pracę, repre-

zentowane przez pokój konsultacyjny i dawniejszą jadalnię, dziś zwaną biblioteką, gdzie z dnia na dzień wzrastała liczba czekających pacjentów. Tu żył samotnie, bo jedyną istotą, biorącą udział w tym dziele jego życia był Stoddart, stary, wier-ny kamerdyner, wprowadzający i wypro-wadzający gości z poczekalni niezmiennie monotonnem: „proszę, tędy“.

Czasami opanowywała doktora nie-przeparta potrzeba podzielenia się z kimś wrażeniami swej codziennej zawodowej pracy. Nieraz, gdy po długiem badaniu i wahaniu udało mu się dotrzeć do jądra choroby, uleczyć dotąd nieuleczalny wy-padek, gdy patrzył na ludzi, opuszczają-cych jego gabinet, jakby przeobrażonych, z nowemi siłami i wiarą idących w ży-cie — podchodził do okna, wciągał pełną piersią powietrze: „Boże, co za zwycię-stwo — szeptał — muszę o tem powie-dzieć Flower“.

Lecz gdy znalazł się w pokoju żony, z chińską filiżanką herbaty w ręku, przysłuchując się opowiadaniu o nowej sylabie wymówionej przez baby Blossom, lub niezwyklej inteligencji Dicka, lub udanym spacerze po parku — uznał, że każda wzmianka o jego trudach i tryumfach lekarza była tu nie na miejscu.

Tu była dziedzina *uczucia*; *myśli* poważne nie miały tu dostępu. Pierwsze miejsce zajęła powszedniość życia; wielkie jego sprawy stały na drugim planie.

Małżeństwo i macierzyństwo pogłębiły już znacznie duszę Flower. Obcowanie z subtelną naturą męża, potrzeba odwzajemnienia jego przemożnej miłości, ciągły przykład poświęcenia, szlachetności, wzniosłość jego celów, wysoki ideał życia, a przede wszystkim troski i radości macierzyństwa, zrobiły z samowolnej i rozpieszczonej Flower z Różanego Ogrodu słodką, pełną wdzięku kobietę — o po-

wierzchowności piękniejszej niż kiedykolwiek, z budzącą się w głębiach duszą, której potrzeba było już tylko jakiejś godziny cierpienia i wewnętrznej walki, by zrzucić z siebie czarną zasłonę egoizmu i konwenyonalności a ukazać się w jasnej pełni życia.

Lecz ta godzina walki i bólu nie była jeszcze przyszła na Flower. Chroniła ją od niej opiekuńcza miłość męża, usuwając z jej drogi wszystko, coby mogło zaćmić szczęście i radość życia. Jednak i on zdawał sobie sprawę z stopniowego rozwoju jej duszy i nieraz jakby niechęcący nazywał ją „Maryą“, tem mianem uświęconem najdoskonalszem Macierzyństwem, które zdawało się być tak nieodpowiednim darem dla jego Flower z Różanego Ogrodu.

.

Tego dnia, gdy doktor Brand stał we drzwiach zapatrzony w salonik żony, Flo-

wer, pochylona nad olbrzymim wazonem żonkili, układała w nim ich złote kielichy.

Wiosenne słońce wpadało przez okno, dotykało jej włosów i zlewało ich złoto ze złotem kwiatów. Doktor spostrzegł to i nagły wyraz zachwytu błysnął w jego spokojnych, rozumnych oczach.

Przy kominku, z nogami opartymi o kratę, siedziała chrzestna matka małego Dicka i czytała „Times“ — w tej chwili podniosła oczy, a ujrzawszy słońce, narcyzy i wzrok doktora, zakryła je szybko gazetą.

Była to doskonale piękna kobieta, choć powierzchowności raczej nieładnej. Niestety, żaden mężczyzna nie poznał jej głębiej. Byłaby zamieniła ziemię na niebo człowiekowi, któryby, nie zważając na zewnętrzną urodę, uległ urokowi jej przedziwnej kobiecości i ocenił słodycz, szlachetność serca, potęgę uczuć i dar rozumienia drugich. Ale żaden jasnowidzący

nie stanął na jej drodze, i zdawało się, że przeznaczeniem jej zajmować zawsze drugie miejsce tam, gdzie na pierwszym byłaby doskonałością.

Była družką na ślubie doktora a mogła mu być żoną, jaką Flower nawet w swym najwyższym rozwoju nigdy nie będzie. Była chrestną matką ich syna, ona, która była uosobieniem ideału matki, przed którą klęczeliby mężczyźni w zachwycie. Spełniała obowiązki matki chrześnej, modląc się, by Opatrzność naprawiała błędy i nierozwagę rodziców, obracając wszystko na dobro dzieci. Posiadała wspaniały głos, ale nie domyślano się tego; akompaniowała zazwyczaj innym do śpiewu a akompaniowała doskonale. Zdarzyło się raz, że artysta zawiódł w ostatniej chwili. Poszła do fortepianu i zastąpiła go w podwójnej roli — śpiewając i akompaniując jednocześnie.

Jak się to stało i jak otworzyły się

oczy niewidomemu mężczyźnie, należy do jej własnej późniejszej historii.¹⁾

W tej chwili poznaliśmy ją jako kobietę pełną taktu, która spostrzegłszy zachwyt w oczach doktora nad słońcem i złotem, nie zwróciła na to uwagi.

— Kochanie — odezwał się doktor Brand do żony — wzywają mnie do Brighton na bardzo ważną konsultację, wątpię, abym mógł wrócić dziś wieczorem.

— To okropne, Deryku. Dziś przyjęcie u Myry i przyrzekłam, że przyjdziemy oboje. Tak nie lubię być samą. A jednak pewnie będę zmuszoną. Spójrz, czy widziałeś kiedy takie narcyzy? Aż tęsknota bierze za lasem...

Doktor zawahał się. Na dole dzwonek odezwał się znowu, drzwi hallu otworzyły się i zamknęły, Stoddart powiedział: proszę tedy.

„Jane”.

— Flower, zaczął doktor — mam śliczny projekt na dzisiejszy wieczór. Pojedź ze mną do Brighton. Staniemy w Metropolu. Myślę, że o siódmej będę wolny, zjemy obiad i pójdziemy na plażę. Księżyc cudny teraz! A gdybyś wolała coś weselszego, to pójdziemy na koncert. Zatelegrafuję po bilety. Już dawno nie słyszeliśmy razem muzyki.

Umilkł, jakby zadyszany.

Flower przełożyła kilka kwiatów, potem spojrzała z czarującym uśmiechem.

Jaki ty zabawny jesteś z twymi nagłymi projektami! Mogło być cudownie, bo bardzo lubię Brighton wiosną. Nie zapomnę nigdy naszego spaceru po King's Road... pamiętasz? w słońcu z olbrzymim pękiem fiołków na mufce... Bajecznie było! Koniec marca, wszystko śpiewało o nadchodzącym lecie. Ale nie zawsze można mieć to, co się chciało.

Muszę być u Myry i uważam, że i ty mógłbyś wrócić na czas. Jeśli przyjdiesz o 11-tej, to wystarczy.

Profil doktora na blado-zielonem tle wydał się nagle jakby zmęczony i szczuplejszy.

— Nie będę mógł wrócić, Flower, bo nazajutrz rano mam drugą wizytę. Kochana... tak chciałbym mieć cię z sobą. To bardzo trudny i męczący wypadek i tak miłą mi będzie myśl, że czekasz na mnie.

Chrzestna matka wyrzała z poza gazety. Usłyszała w tonie jego głosu, dojrzała w twarzy to, co spodziewała się zobaczyć. Mimo swych czterdziestu lat, mimo swej wiedzy i niezwalczonej energii, wyglądał w tej chwili na zmęczone dziecko, potrzebujące ukojenia, odpoczynku w ramionach kobiety. Jak gdyby przeczuwał to zmęczenie i wyczerpanie, które nań przyjdzie po pracy, bał się samotności i pustki i zapragnął towarzystwa

i miłości żony. Chrzestna Dicka zrozumiała go. Czekala na odpowiedź Flower.

— A kto ten chory, Deryku?

Doktor zawahał się na chwilę, potem wymienił nazwisko bardzo znane, tak, że chrzestna Dicka, aż skoczyła na krześle.

— Mój drogi, zawołała — jeśli ci się to uda, to znaczy, sławę zdobędziesz — światową sławę! O! czem możnaby ci dopomódz? Czy musisz przyjmować dziś rano pacjentów?

Doktor uśmiechnął się.

— Muszę, Jeanetko, chyba, że ty ich przyjmiesz za mnie. Praca uzdalnia do pracy. Tylko potem, gdy już wszystko przejdzie, człowiek czuje się takim zmęczonym!... Spojrzał na Flower. I cóż najmilsza, będziesz gotowa na drugą?...

— Tak mi przykro, ale doprawdy nie wiem, jak dziś pogodzę wszystko, żeby z tobą pojechać. Żeby to było jutro! Dziś

nurse prosiła, aby mogła wyjść wieczorem, przyrzekłam, że się dziećmi zaopiekuję. Wprawdzie jest Emma i Marsdon, ale niebardzo im ufam. Przytem obiecałam dzieciom, że będę się z nimi bawić w menażeryę a bardzo pilnuję tego, żeby dzieciom nie robić nigdy zawodu. Sam mi to nieraz powtarzałeś, że gdy coś obiecuję, muszę spełnić, choćby nie wiem jakim kosztem. Prócz tego ten raut u Myry... Doprawdy, Deryku, nie widzę możliwości wyjechania dzisiaj.

— Już dobrze, Flower, odparł doktor spokojnie. Żal mi, że ci moją propozycją przykrość sprawiłem. Nie czekaj na mnie ze śniadaniem, nie mam ani chwili czasu. Stoddart zapakuje mi śniadanie do torby. Do widzenia.

Szybkie jego kroki słyszeć było po schodach, potem zamknięcie drzwi gabinetu. Jane odłożyła „Times“, poprawiła węgle na kominku, Flower westchnęła:

— Deryk naprawdę jest czasem nudny.

Jane przygryzła wargi. Uznała, że najlepiej zrobi, gdy jej przeczyć nie będzie.

— Wszyscy mądrzy ludzie są zazwyczaj nudni w codziennem życiu — odparła po chwili.

Flower odwróciła się i spojrzała ku niej:

— Moja Jeanetko, nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć. Deryk jest idealny w pożyciu, idealny! Jesteś tu od dziesięciu dni i tego nie zauważyłaś? Niecierpliwi mnie tylko, gdy nagle wpadnie do mnie z jakimś planem i żąda, żebym była gotowa wyruszyć z nim za chwilę. Gdyby mi był to wczoraj powiedział, wszystko dałoby się było urządzić.

— Sądzę, że sam o tem nie wiedział dziś rano.

— Nie o to chodzi. Najważniejsze, że

obiecałam nurse dzisiaj wieczór a nie mogę zostawić dzieci bez opieki.

Jane pochyliła się nad ogniskiem, wzięła pogrzebacz i starannie zsuwała węgle do środka. Rękę miała silną, pewną, nazwaćby ją można „zdolną“ ręką. Twarz zarumienioną od żaru ognia. Doktorowa układała białe bzy w wysoki kryształowy wazon.

Cisza zapanowała w saloniku.

Zegar wybił jedenastą.

Jane odłożyła żelazo i objąwszy rękoma kolana, zaczęła mówić:

— Flower, gdy taki człowiek, jak twój mąż, wzywa cię, powinnaś zostawić wszystko — *wszystko* — i pojechać z nim. Czem są towarzyskie obowiązki, zachcianki służby — a nawet dzieci, w porównaniu z potrzebami człowieka, takiego jak Deryk! Czyż nie słyszałaś prośby w jego głosie?... Był to jakby krzyk zmęczonego dziecka, w ciemnościach szukającego opiekuńczych

ramion matki i ukojenia do snu. Silny i dzielny mężczyzna jakim jest — a myślę, że ani ty, ani ja nie zdajemy sobie sprawy, jak dzielny w niesieniu pomocy innym — w miłości jest i pozostanie zawsze chłopcem. On taki młody sercem... tą wieczną młodzieńczą młodością. Teraz właśnie potrzeba mu twych ramion. Pracuje za trzech — ty nie wiesz o tem, ale ja słyszę od obcych. Gdy więc dzień pracy przejdzie, pragnie chwili odpoczynku, zrozumienia, chwili, gdzie mógłby mówić albo milczeć, spać albo czuwać, na co przyjdzie mu ochota, byleby tylko nie czuł się osamotnionym i mógł uciec od męczących wspomnień codziennych zajęć, bo zanadto zmęczony, by samemu się od nich uwolnić. I... Flower, tylko ty, ty jedna możesz mu to dać. Mam ci powiedzieć? Znam pół tuzina kobiet, które rzuciłyby wszystkie towarzyskie zobowiązania, mężów, dzieci, wszystko i podażyły do Brighton lub

gdziekolwiek indziej na pięciominutową rozmowę z Derykiem, gdyby chodziło o to, by zaspokoić w danej chwili jego potrzebę towarzysza i przyjaciela.

— Okropne stwory! mruknęła ironicznie Flower. Ale ich mężowie mieliby także coś do powiedzenia za to gonienie za moim mężem. Dziwię się, że taka przyzwrotna osoba, jak ty Jane, nie wstydzi się mówić takich rzeczy. Daremnie się silisz, jeśli myślisz wzbudzić we mnie zazdrość. W mojem przekonaniu tylko słabe charaktery zdolne są do zazdrości. Czułam się zawsze wyższą nad to.

— Wiem o tem, wiem — odpowiedziała szybko Jane. Nie miałam najmniejszego zamiaru pobudzić cię do zazdrości. Zresztą dlaczego miałabyś ją uczuwać? Deryk nie dał ci nigdy do tego powodu. Wszyscy o tem wiemy.

Flower odłożyła nożycy, zbliżyła się do kominka, uklękła na skórze, łagodniej-

sza i zamyślona. Wyciągnęła mokre ręce do ognia, spojrzała prosto w oczy Jane z nieco złośliwym, pytającym uśmiechem:

— Czy wiesz Jane, zagadnęła — nieraz zastanawiałam się nad tem, że wy tak się doskonale znacie nawzajem — czy kiedyś, nim Deryk mnie poznał, nie oświadczył się tobie?

Jane uśmiechnęła się i poprawiła ogień bucikiem.

— Mogę cię uspokoić tem jednym zapewnieniem, że... nie byłabym mu odmówiła.

— Doskonała sobie jesteś, Jane! tak lubię z tobą rozmawiać, bo taka przemiała ta twoja prostota! Potem poważniej dodała: To nieładnie, jeśli myślisz, że nie kocham Deryka i, że mnie nic nie kosztuje jego nieobecność. Śmiertelny strach przechodzę w noc, gdy wiem, że wraca ze Szkocyi pospiesznym pociągami. Zasnąć nie mogę, myśląc, jak on tam leży na

ławce wagonu. Nigdy nie weźmie sleepingu. I leżąc, myślę o tych wszystkich strażnikach, w których rękach spoczywa jego życie, czy nie są pijani.

W głosie Flower znać było wzruszenie.

— Nasłuchawszy się tyle o wypadkach kolejowych, napisałam na drugiej stronie jego karty wizytowej: „W razie wypadku proszę telegrafować do Mrs. Deryk Brand. Wimpole Street, London W“. Włożyłam to w notes i pocieszam się tem, że nosi ją przy sobie.

Śliczne oczy doktorowej zaszły łzami, rzęsy zaświeciły w blasku ognia.

Jane milczała przez chwilę, chwyciła pogrzebacz, potem odłożyła go nieużyty i jąła mówić wolno, z namysłem:

— Dobrze Flower, ale przypuściwszy, że jakiś wypadek się zdarzy i zatelegrafują do ciebie, co wtedy zrobisz?

— Co? zawołała doktorowa, otwiera-

jąc szeroko oczy. Naturalnie pojedę do niego!

— A jeśli — przypuściwszy — zdarzy się, że nurse wyjdzie z domu... albo będziesz zaproszona na herbatę, albo obiecasz dzieciom...

— Jane, Jane, jaka ty okropna! Ufam, że nic z tych rzeczy się nie stanie, ale gdyby był zraniony albo chory, nic nie oderwałoby mnie od niego. Nie zapakowałabym nawet rzeczy. Poleciałabym... naturalnie... albo kazałabym Marsdon zapakować torbę, a sama schwyciłabym najpierwszy pociąg.

Jane energicznie poruszyła przygasające węgle i mruknęła głuchym głosem:

— Tak, sądzę, że przezornie byłoby zabrać torbę. Stanowczo pomyślałabym o Marsdon i torbie.

Potem nagle, rzucając żelazko na ziemię, uchwyciła trzepoczące się ręce Flo-



wer i trzymając je silnie, patrzała badawczo jej w oczy.

— O, dziecko, dziecko!... Przypominasz mi historię białej róży. Siądź na chwilę a opowiem ci ją. Znajomi moi mieszkali w uroczej miejscowości w Hertfordshire. Ona — Sybila — lubiła nadzwyczaj ogród, szczególnie pielęgnowała róże. Mieli jedyną córeczkę czteroletnią, Anielcię — śliczne jak aniołek dzieciątko. Odwiedziłam ich raz w czerwcu. Piłyśmy herbatę w ogrodzie. Tuż obok kwitnął przepyszny krzew białej róży, obsypany kwiatami. Sybila była bardzo z niego dumna. Wtem usłyszeliśmy tupot biegących w podskokach małych nóżek i po chwili mała dziewczynka ukazała się na ścieżce. Stała przy nas, spoglądając poważnie, nie prosząc o nic. Sybila była bardzo stanowczą i wymagającą matką. Nagle oczy dziecka padły na krzak róży i wielki zachwyt i pragnienie odbiło się

w ich spojrzeniu. Zbliżyła się do matki i patrząc błagalnie, prosiła: „Mamusiu, takie śliczne! Czy mogę zerwać jeden kwiatek?” — „Naturalnie, że nie, odpowiedziała Sybila. Dość często mówiłam ci dziecko, że nie wolno rwać ci kwiatków w ogrodzie. Pobiegnij do nurse i nie naprzykrzaj się“.

Dziecko nic nie odpowiedziało, tylko usteczka mu zadrżały. Maleńkie nóżki posuwały się wolno po trawie, taniec z nich uleciał, a Sybila długo i szeroko wykladała mi o ważności zwalczania w dzieciach ich naturalnej skłonności do niszczenia. Zdaje mi się, że odpowiedziałam tylko: „Cóż na Boga za przyjemność z ogrodu pełnego kwiatów, gdy twoje własne dziecko nie może ich rwać, ani cieszyć się nimi“. Na to Sybila: „Jak dobrze, że nie poszłaś za męża. Psułaśbyś rozpaczliwie twoje dzieci, gdyby ci je Bóg dał“.

Śmiałyśmy się z tego, nie sprzecząc

się dalej, bo Sybila była dobrą i rzeczywiście oddaną matką, o ile dziecko zadawałniało ją we wszystkim.

Jane przerwała na chwilę, jak gdyby w duszy przeżywała zdarzenie i szukała słów odpowiednich, by je opowiedzieć. Potem pochyliła się naprzód, łokcie oparła na kolanach, ręce zacisnęła i patrząc na nie uporczywie, mówiła cicho i wolno:

— Trzy tygodnie później zawezwano mnie, by uspokoić i pocieszyć zrozpaczoną i osieroconą matkę... Gdy biedna Sybila zaprowadziła mnie do pokoju, gdzie maleństwo leżało zasypiane białymi różami — róże miała w rączkach, róże na nóżkach, białe płatki okalały twarzyczkę, białszą teraz niż najbielsze kwiaty; gdy to zobaczyłam... gdy biedna matka padła na kolana przy łóżeczku, jęcząc w rozdzierającym bólu, wiedziałam, dlaczego mnie wezwano...

— „O, Jane, Jane!“ — mówiła — „czy pamiętasz? ona chciała *jedną* różę, *tylko jedną* — a ja nie dałam... O dziecko moje, jedyne!...“

— Sybilo, kochanie, — szepnęłam bezradna — ma teraz wszystkie.

— *Teraz!* krzyknęła Sybila w najwyższej rozpacz. Co jej z tego *teraz*? Milion róż, leżących na niej niewarte tej jednej, zerwanej jej rączką, wtedy, gdy jej pragnęła, gdy jej przyjemność mogła zrobić. Za późno!... O, Boże! za późno... Fala czasu nie wraca!... Czyż nigdy już nie usłyszę głosu mej dzieciny: „Mamuś, czy mogę zerwać różyczkę?“ Ach! przemów do twej biednej matki i powiedz, że wiesz, że chciałyby ci dać wszystkie...

Ale mała twarzyczka aniołka nie poruszyła się. Drobne, marmurowe paluszki trzymały tak lekko kwiaty, że gdy łóżeczko wstrząsnęło się od rozpaczliwego płaczu matki, róże z rączek wypadły i spa-

dały wolniutko na ziemię. Ach, biedne, biedne serce matki!... Spóźniony twój żal!...

Jane patrzała ciągle na zaciśnięte ręce — doktorowa cicho płakała.

— Flower — mówił dalej głęboki, smutny głos — wszyscy zdolni jesteśmy do takiej pomyłki. Gdy drogie nam istoty przejdą próg ziemskich przyjemności, zasypujemy je najkosztowniejszymi wieńcami, z najrzadszych kwiatów, by uspokoić sumienie, że odmówiliśmy im jednego, zwykłego kwiatu, gdy o niego prosiły i mieć pragnęły. Nauczmy się dawać nasze kwiaty *zaraz* — *teraz*, kiedy mogą je przyjąć i posiadać, kiedy mogą odczuwać ich woń i cieszyć się ich pięknnością. Dziecko drogie, daj Derykowi jego białą różę, kiedy prosi o nią. Mężczyzna żąda natychmiastowego zaspokojenia potrzeby swego serca. My kobiety możemy czekać. Niejedne z nas lubią nawet samą myśl czekania. Jego uczucia są silniejsze, prost-

WBE Ciszczyn
sze, intensywniejsze od naszych. Gdy czego pragnie, pragnie otrzymać zaraz. Gdy walka minie i zwycięży, pragnie zrzucić starą zbroję i kuć zaraz nową. Stań przy nim w onej chwili, w zgiełku, dymie i gorącu, z kubkiem świeżej wody, której łaknie. I... o, pamiętaj, fala czasu płynie zawsze naprzód — nigdy wstecz... Chciałabym ci oszczędzić spóźnionego żalu.

Umilkła i podniosła oczy. Linie około jej ust i oczu były surowe i twarde, ale spojrzenie łagodne i pełne czułości.

Flower wstała i pochyliwszy się, pocałowała ją serdecznie.

— Lepiej byłoby, aby był się z tobą ożenił, odrzekła, byłabyś lepszą żoną, lecz ponieważ mnie wybrał, muszę postępować jak umiem najlepiej. Pojadę do Brighton.

Poczem wolno, ze spuszczoną głową, wyszła z pokoju.

Długą chwilę siedziała Jane pogrążo-

na w myślach. Kosztowało ją niemało wypowiedzieć to, co powiedziała, a czuła, że wrażenie, które wzbudziła, nie potrwa długo. Każdy sam musi przejść przez doświadczenie. Słuchanie o subtelności drugich nie zmienia jeszcze wartości naszego serca. Wiedziała o tem i z obawą myślała o Flower.

Gdy wstała, oparła się o gzyms kominka i wpatrzyła się w dawną fotografię doktora, stojącą tutaj wśród pamiątek i skarbów Flower — fotografia była z czasów, gdy Flower go nie знаła, z lat gdy ona, Jane i doktor, tworzyli parę najlepszych przyjaciół, gdy była jego najzauważalszym towarzyszem i powiernicą wszystkich jego planów i nadziei. Patrzała w wielkie, ciemne oczy młodego człowieka, obdarzonego, zdało się, przez naturę wszystkim co najlepsze — była z nich jakaś szlachetna duma, odwaga, wiara w ideały i niepospolita inteligencja, mo-

gąca go zaprowadzić, gdzie tylko pragnął. Uśmiech pewności siebie i odczuwanej siły okalał mu usta. Nie było cienia zmęczenia koło tych śmiałych oczu. Jane wzięła do rąk portrecik i mówiła cicho:

Ach chłopcze!... zrobiłam, co mogłam dla ciebie. Jabym ci była dała wszystko, cobym dać mogła. Ale ty chciałeś urody a ja dać mogłam tylko miłość. Teraz masz urodę a tęsknisz za miłością. Oby Bóg ci ją zesłał, mój drogi, jedyny chłopcze! Zrobiłam, co mogłam...

Postawiła portrecik i zaledwie się odwróciła, drzwi się otworzyły i wpadła zadyszana doktorowa.

— Jane, co za fatalność! Celestyna przyszła. Zupełnie zapomniałam, że ją zamówiłam. Przyniosła do przymierzenia suknię, którą mam mieć na wystawie, powiadam ci marzenie!... Chodź, zobacz, pomóż, poradź... Moja ty, co za szczęście

że tu jesteś! nigdy nie mogę dojść do porozumienia z Celestyną.

.

Gong zadzwonił na śniadanie. Jane czekała dziesięć minut, poczem służąca przyszła oznajmić, że Lady Brand prosi, aby nie czekała, że przyjdzie za chwilę.

Już w podróżnym kostyumie, gotowa do drogi, Jane zabrała się do kurczenia na zimno i sałaty, spojrzała na zegarek, pamiętna na umówioną godzinę drugą.

— Jeżeli przyjdzie zupełnie gotowa, to może zdążyć, pomyślała i zabrała się do leguminy.

Drzwi się otworzyły i doktorowa ukazała się w codziennej sukni.

— Przepraszam cię, Jane, ale wiedziałam, że moja nieobecność nie popsuje ci apetytu. Szkoda, że nie zostałam ze mną do końca. Po twojem odejściu Celestyna namówiła mnie na jeszcze jedną toaletę

na wyścigi Davonshire, a miałam zamiar być w tej mojej od Paquin'a. Jak ty doskonale rozkrawasz drób! a może to Stoddart za ciebie? Prawdziwie po mistrzowsku! Boję się, że jak ja do tego się zabiorę, będzie wyglądało, jakby samochód po tem przejechał. Co tak patrzysz?...Najdroższa, najmilsza moja! nie patrz tak dziwnie... czy co złego znalazłaś w kurczęciu?

— Flower! Miałaś być gotową na drugą, już jest 1.45 a ty jeszcze w codziennej sukni!

— Bo moja droga, nie pojadę. Najlepiej zawsze trzymać się pierwszego postanowienia. Z przyjemnością byłabym pojechała, ale nie zdążę już, a potem nie uważam za słuszne zostawić dzieci bez nurse.

Drzwi się nagle otworzyły i wszedł doktor.

— Mój drogi! zawołała Flower, zjadłyśmy wszystko! Gdybym była wiedzia-

ła, że przyjdiesz, byłabym uratowała skrzydełko...

— Dziękuję, odrzekł doktor wesoło, nie mam czasu dziś na śniadanie, nie powinienem nawet tu wchodzić. Jeszcze mam jednego pacyenta, a powóz stoi przed domem. Ale chciałem pożegnać się z tobą, kochana, i powiedzieć — tu zniżył trochę głos — abyś się nie martwiła, że nie możesz ze mną jechać. To egoizm z mej strony żądać tego od ciebie. Potem przypomniałem sobie, że Jeanetko wraca dziś do Owerdenu, więc wpadłem powiedzieć jej do widzenia.

Obszedł stół i podał rękę Jane. .
 mniałem sobie, że Jeanetka wraca dziś do nowanie dla księżnej. Odwiedź nas znowu, skoro będziesz mogła. Bóg ci zapłać za twoją poczciwość dla mnie i moich.

Jane wstała i podała mu rękę. Równali się prawie wzrostem.

— Do widzenia ci, chłopcze. Nie prze-

męczaj się, wypocznij, o ile możesz i wiedz, że ty i twój zawsze mi drodzy.

Jakby lekkie zakłopotanie odbiło się w oczach doktora na dźwięk tej dawnej nazwy. Od kilku lat Jane przestała go tak nazywać. Trzymając jej rękę, spojrzał badawczo w oczy. Odpowiedziała mu szczerem, pełnem spojrzeniem. Nie miała nic do ukrywania.

— Do widzenia, droga — powiedział doktor; następnie zwrócił się do żony i zawahał...

— Do widzenia! — powtórzył powoli.

Flower nie lubiła ostentacyjnych czułości, pożegnała go poruszeniem ręki.

— Do widzenia, mój lordzie, rzekła, a kiedy ci czas mile schodzić będzie na flircikach w Brighton, pomyśl o twej biednej żonce, pozostałej dla pilnowania dzieci i domu.

Drzwi zamknęły się szybko za doktorem.

Jane pochyliła się w milczeniu nad talerzem. Doktorowa śmiała się, obeszła stół, by ukroić sobie kawałek tortu, rozśmiała się znowu, ale nie bardzo szczerze, potem wyrecytowała wszystkie powody, dla których było nierozsądnie ze strony Deryka żądać, by z nim jechała i ze strony Jane kłaść taką wagę na jej odmowę i zakończyła: Dlaczego mówisz mu „chłopcze“? Taka niemądra, nieodpowiednia nazwa! Ach! szkoda jednak, że nie pojechałam... Słyszę odjeżdżający powóz... Ot, głupi świat!

.

Ósma wieczór.

Miękkie, zielone kotary w saloniku były zapuszczone, chroniąc przed chłodem wiosennej nocy. Ze ścian, z nad biurka padało jasne światło elektrycznych lampek. Flower zapaliła wszystkie, chcąc zewnętrzną jasnością rozproszyć ciężki

mrok, jaki jej padł na duszę. Z chwilą bowiem, gdy powóz doktora potoczył się w stronę dworca, wszystko poczęło iść na opak doktorowej.

Jane taka rozmowna rano, zaledwie odpowiadała, rozmowa rwała się, aż się urwała zupełnie.

Nieomal z ulgą patrzała na wyjazd jej na Charing Cross — lecz gdy odjechała, jeszcze smutniej zrobiło się na duszy Flower... turkot szybko pędzącej dożki bolesnem echem odbił się w jej sercu.

Pobiegła na górę do dzieci, dowiedzieć się, o której godzinie nurse chciała być wolną i przekonała się, że to nie było dzisiaj, lecz nazajutrz. Nurse twierdziła, że napewno powiedziała w środę; nie mogła inaczej powiedzieć, gdyż we wtorek siostrzenica jej, którą odwiedzić chciała, była zaproszona przez przyszłą teściową do Pimlico. Ale naturalnie, Dick stukał cały czas młotkiem, więc pani mogła nie

dosłyszeć. Emma wystąpiła jako świadek tego, co nurse powiedziała, wówczas Dick, biorąc matkę w obronę, zawyrokował: „Poszłaś wtedy po mleko“.

Doktorowa skonfundowana schodziła ze schodów, rozważając fakt, że jedyny powód, który zdawał się nieprzezwykłą przeszkodą do pojechania z mężem, okazał się pomyłką — głupią, nierozważną pomyłką.

Coby Jane była powiedziała, gdyby wiedziała? Przyszło jej na myśl krótkie, dosadne wyrażenie, jakimby Jane prawdopodobnie określiła sytuację i uśmiechnęła się filuternie. — Doktorowa umiała się oszczędzać.

Wrócił jej humor, zadzwoniła, kazała zająć samochodem, ubrała się i wyjechała do parku na spacer.

Lecz tam wszystko mówiło o Brighton i przyjemności, jakiej byłaby użyła z mężem.

Dzień był przecudny, słońce prawie paliło, powietrze pełne zapachu fiołków. Gromady krokusów zabarwiały łąki, wonne hyacenty wydobywały się z szarej ziemi, obracając posłusznie swe jasne główki ku słońcu. Cały park śpiewał o nadchodzącej wiosnie, życiu i weselu.

I zapragnęła mieć go przy sobie, z tą jego wrażliwością na piękno, umiejętnością wynajdywania go tam, gdzie ona nie byłaby go dostrzegła, zdolnością odczuwania, okazywania radości, wyzyskania w pełni każdej przyjemności, a przede wszystkim z tem jego uwielbieniem dla niej i miłością, co ją napełniało uczuciem, że dobrą jest i piękną i godną takiego przywiązania. Tego popołudnia Flower odczuła potrzebę podniesienia się we własnych oczach. Wiedziała, że oskarżała się niesłusznie, mimo to w głębi duszy czuła się egoistką, nie dorównującą jemu, niegodną takiej miłości. To Jane dała jej te

niemiłe uczucia. Ssensu niema mówienie Jane do Deryka „chłopcze“ i twierdzenie, że lepiej rozumie jego potrzeby niż ona, jego żona... O, gdyby była tylko pojechała do Brighton! Gdyby była pojechała!... Lecz to nie było jej winą, że nie mogła tak od razu stanąć na jego wezwanie. Deryk sam powiedział, że żądanie jego było nie-słusznem, że nie ma się tem martwić. Ła-two powiedzieć „nie martw się“ pozostałej w domu żonie. Deryk powinien wiedzieć, jak ona troskać się będzie o niego przez dzień cały, co tam robi w Brighton, czy nie za nadto zmęczony, że jeść ani spać nie może. Gdyby te stare, okropne znakomito-ści chciały lepiej umrzeć od razu, zamiast chorować i robić sobą tyle zamieszania i nieprzyjemności.... Musi być przykro czuć się tak zmęczonym i nie móc jeść w Metropolu, gdzie taka doskonała ku-chnia... Nierozważnie było z strony De-ryka wybrać się tylko z paczką sandwi-

chów, kiedy mógł urwać pięć minut, któremu z nudnych swych pacjentów i zjeść skrzydełko kurczęcia z sałatą... Za to Jane jadła z apetytem! Gdyby *naprawdę* była taka przejęta tem, że Deryk jedzie sam, nie byłaby się tak spieszyła do śniadania, gdy gong uderzył i nie oddałaby się tak całą duszą jedzeniu. Jane lubi dawać do zrozumienia drugim, że źle zrobili. Jaki inny jest Deryk! On zaraz poznał, komu należy się nagana i nigdy nie zrzuca winy na drugich. Czy lepiej wierzyć Derykowi, czy Jane?... O, jak miło byłoby w Brighton! Egoistka byłaby zaraz pojechała i nie byłaby się troszczyła o nudną nurse z jej zmiennymi planami. Ludzie, zmieniający postanowienia bez ważnej przyczyny nie zasługują na szacunek. Gdybym była mniej oddaną matką... Jaki miły był Dick, gdy mówił, że Emma poszła po mleko! zupełnie jak Deryk, który nigdy nie pozwolił mi nawet pomyśleć, że

źle zrobiłam. Co za miłe uczucie być tak kochaną przez dwie takie natury jak ojciec i syn. Kobieta niegodna tego, lub egoistka nie wzbudziłaby nigdy takiej miłości... Ja nie zupełnie się nie nadaje na żonę. Co za nietakt z jej strony mówić w tak aprobujący sposób o kobietach zameężnych, jadących za Derykiem! A może, mimo wszystko, uda się której być tam w Metropolu i towarzyszyć mu przy obiedzie?

Znowu figlarny uśmieszek przebiegł przez usta Flower, odsłaniając dołeczki, które doktor tak lubił. Wiedziała doskonale, coby czuł i jakby patrzył i jakby jej opowiadał później to zdarzenie, dając bezwiednie odczuć niemożliwość, by jakaś inna kobieta mogła zająć jej miejsce.

Ruch samochodu wprowadził ją w senność. Oparła się, zamknęła oczy i poddała przyjemnemu uczuciu pędzenia w przestrzeń, ufna w dzielność szofera, nie przypuszczając nawet, ile razy unik-

nęła zderzenia nagłym zakrętem, który zawsze oznaczał wyminięcie niebezpieczeństwa.

Trąbka sygnałowa na przejazdach ryczała jak przewalające się fale na wybrzeżu w Brighton. Zdawało jej się, że jedzie wzdłuż King's Road, że wpada do Metropolu, spotyka Deryka i woła: „najmilszy, jednak przyjechałam“.

Nagle zatrzymanie się samochodu zbudziło ją. Samochód, wstrzymany przez krzyżujące się powozy, stanął niedaleko głównej bramy parku. Otworzyła oczy i ujrzała naprzeciw w powozie siedzących obok siebie mężczyznę i kobietę. Kobieta miała pęk białych róż na mufce. Towarzysz pochylił się ku niej i szepnął coś do ucha. W ten moment wyjęła biały pączek i podała mu.

Pełne szczęścia jej spojrzenie wpadło, jak rozjaśniający promień do samochodu. Mężczyzna wziął różę i wpiął w butonierkę

bez słowa podzięki, lecz gdy oparł się znówu w powozie, wzrok jego ufny i zadowolony zdawał się zaspakajać w pełni jego towarzyszkę. Oczy jej i usta uśmiechały się słodko, podniosła różę i przyłożyła na chwilę do policzka.

— Do domu — rzuciła nagle doktorowa szoferowi.

Gdy samochód posłusznie skręcił i wyjechał z bramy, zdawało jej się, że słyszy prześladowający ją bezustannie głos Jane: „Daj Derykowi jego białą różę, gdy cię o nią prosi. Mężczyzna żąda odrazu zaspokojenia potrzeb swego serca. Jeżeli pragnie czegoś, pragnie zaraz“.

O! Jane — wiernym byłaś przyjacielem i zrobiłaś, co było w twej mocy.

.

Przyjechawszy do domu, doktorowa wypila herbatę z jedną czy dwiema przyjaciółkami, które wpadły, by omówić przy-

jęcie u Myry Ingleby i zbliżające się wyścigi. Ogromne zainteresowanie wywołał fakt, że doktorowa nie wystąpi w dawnej toalecie od Paquin'a, ale w świeżej zupełnie kreacyi zręcznej i pocziwej Celestyny. A zresztą, Jane ze swą uwagą, skupioną na jabłecznym torcie i swem niesympatycznym usposobieniem mogła każdego zgniebić. Deryk pierwszy oburzy się, gdy się dowie, co Jane powiedziała.

Gdy goście wyszli, zadzwoniła na dzieci i zaczęła się bawić w menażeryę, choć malcy mieli ochotę na coś innego. Ale uparła się przy menażeryi, wyjęła zwierzątko z szafki i wyrzuciła na środek pokoju. Nie mogła znieść, żeby nie miał być urzeczywistnionym ani jeden z programów, wymienionych Derykowi. Dłgie lata później dzieci, mówiąc między sobą o menażeryi, nazywały ją ulubioną zabawą mamy.

Przez jakiś czas wszystko szło dobrze. Bawiło ją niezmiernie leżenie na dywanie, podczas, gdy mała Blossom jak fala białego kaszmiru i koronek przewracała się po niej, a Dick w aksamitnem czarnem ubranku, w jedwabnych pończoszkach, w pantofelkach z klamerkami, przesuwał z powagą zwierzątko, opisując ich usposobienie, zdolności, pokrewieństwa, dawne i obecne dzieje. Ale po pewnym czasie zaczął stawiać bardzo dziwne pytania o arce Noego i nie dał się zaspokoić zdawkowymi odpowiedziami. Doktorowa poczuła się bezradną. Niewiele wiedziała o zwierzętach, jeszcze mniej o arce, a nic o dawnych patryarchach. A, żeby odpowiadać zadawalniająco na pytania Dicka, trzeba było doskonale znać te trzy tematy. Zmęczona i znudzona umyśliła schować się w niezdobytą fortecę i odpowiedziała:

— Mój maleńki, czyż to możliwe, abym to wiedziała, przecież tam nie byłam...

Dick wsadzał na słonia niedźwiedzia, który mógł tylko siedzieć — bo siedzący się urodził i tak zeszytniał — i nie mógł w innej pozycji postępować za pochodem.

Nagle zatrzymał się, zsadził niedźwiedzia, stanął naprzeciw matki z rączkami w kieszeniach. Siedziała na dywanie przy kanapie, głowę oparła o poduszkę i patrzyła na niego oczyma pełnymi tliłości. Twarzyczka Dicka zrazu twarda i poważna, podczas gdy patrzył na matkę łagodniała. Brak jej wiadomości o arce i jej urządzeniach nabrał jakby mniejszej wagi. Była taka śliczna, że trudno było od niej wymagać czegoś więcej.

— Nieprzyzwyczajoną jesteś odpowiadać na pytania, mamó, prawda? rzekł poważnie. Muszę z tem poczekać, aż ojciec wróci. Bo ty, mamusiu, zdajesz się nie wiedzieć nic, prócz tego, co sama robisz.

— Dicku, niegrzeczny jesteś dla twej

mamusi — zaprotestowała Flower żałośnie. Nikt napewno nie może wiedzieć, co robił Noe ze zwierzętami w arce, żeby większe nie podeптаły mniejszych, albo jak powstrzymał słonia, żeby nie zdepnął pasikonika.

— Każda dorosła osoba wiedziałaby napewno — upierał się Dick chłodno.

— Dicku, jesteś bardzo niedobry. Chcesz mi tem powiedzieć, że jestem niemądrą.

— Boję się, że tak jest — mówił spokojny, cienki głosik, potem dodał z nagłym wybuchem zachwyту: Ale jesteś tak śliczna, że to nic nie szkodzi.

I miniaturowe wydanie doktora rzućilo się na matkę i objęło ją ramionkami.

— Czy możemy tobie, mamusiu, powiedzieć dziś historię św., bo ojca nie ma — pytał Dick parę minut później, gdy nadszedł czas spania. Flower przystała z radością. Wprawdzie nie uznawa-

ła systemu nurse uczenia dzieci Pisma św. i dziwiła się, że Deryk to pochwalał, lecz nie chciała się ponownie w złym świetle przedstawić synowi.

Dick postawił Blossom przy sobie „w rzędzie“, dziewczynka zaczęła wołać: da — da — Dick skarcił ją, potem wyprostowany, z rękoma założonemi za siebie, wyrecytował:

— „Jezus rzekł: Jeśli o cośkolwiek prosić będziecie w Imię moje“, — no, baby...

— Da wam — zaszczebiotała mała.

— Bardzo ładnie, pochwaliła Flower.

Blossom, spełniwszy swój obowiązek, schowała łepkę w poduszkę i kwicząc radośnie, fikała grubemi nóżkami. Dick został na miejscu, nie skończył jeszcze tekstu.

— Czy to jest prawda, mamó? — zapytał, patrząc badawczo w oczy matki.

— Dlaczego? Naturalnie — kochanie — sądzę, że jest prawdą — odrzekła Flower niepewno.

— Baby, uważaj, złamiesz sobie karczek.

— A co znaczy „cogolwiek“ — pytał dalej Dick.

— Nie mówi się „cogolwiek“ tylko „cokolwiek“.

— W historyi św. nurse jest „cogolwiek“, zapewniał Dick. Myślę, że to znaczy wszystko, co przyjdzie do głowy, wszystko, co można pomyśleć.

— Ja myślę, rzekła Flower w nagłym natchnieniu, że się to odnosi do spraw apostołów.

— Wielki Boże! zawołał Dick tonem nurse, gdy ta perswaduje coś Marsdon — w takim razie dlaczego tego nie mówią? — Potem już własnym spokojnym i smutnym głosem:

— A co nam z tego przyjdzie, mamó?

— Nic — odpowiedziała zdecydowanie Flower i podniosła się z ziemi, huśtając na rękach baby.

Poczuła swą wyższość umysłową.

— Dlatego nie lubię, jak uczą dzieci takich rzeczy, odpowiedziała z poza loczków Blossom. Mały Deryk umilkł. Stał dalej wyprostowany, szarpał białą kamizelkę, przelykając ciężko, jakby go coś dławilo. Flower zrobiło się niemiło, że tak została z ostatniem słowem. Dick miał tyle męskości, a ona tak mało znała teologię!

Milczenie przerwało wejście nurse, która zabrawszy Blossom, kazała Dickowi pospieszyć się i powiedzieć mamie dobranoc.

Flower uściskała go serdecznie, obiecała wycieczkę do Zoologicznego ogrodu, gdy tylko cieplej się zrobi. Dick pozwolił się ucałować, ale nie zauważył wzmianki o Zoologu. Już przy drzwiach, odwrócił się szybko:

— Mamo, nie wiem nic o „postołach“, ale muszę się przyznać, że przystosowa-

łem te słowa do siebie. Nurse powiedziała, że każdy może stosować słowa Pisma św. do swoich potrzeb. Czuję, że te odpowiadają moim potrzebom.

Podniósł odważnie główkę, choć trochę niepewny, czy matka go nie złaje lub nie wyśmiej.

Ale Flower nie śmiała się. Spojrzała na małą figurkę z wielkiem zdziwieniem. Szczerłość i wiara jego dotknęły ją i zastanowiły. Co za niezwykła purytanka z tej nurse! Uśmiechnęła się zachęcająco do Dicka.

— To może być prawdą — kochanie — ale mój maleńki, przecież nie masz żadnych potrzeb?

— Nie mam? zawołał Dick tonem kogoś, ktoby powiedział „tylko tyle wiesz?” a zamykając drzwi wolno, szepnął przez szparę:

— Potrzeba mi nowych wnętrzości do królika.

Gdy Flower została sama, przyszła jej na myśl uwaga Dicka, która wzmogła jeszcze przygnębienie. „Zdajesz się nie wiedzieć nic, prócz tego, co sama robisz” — syn jej powiedział. Nagle zrozumiała i ujrzała się jakby w nowem zupełnie świetle. Jaka to prawda, przerażająca prawda!

Co ona wiedziała o pracy Deryka? O tych wszystkich ludziach, co przychodzili i wychodzili z pokoi na dole? O prelekcyach, artykułach, które pisał, które cały świat podziwiał? Co za udział brała w pracy i życiu społecznem męża? Jane chciała nieraz o tem mówić, ale ona zmieniła zaraz temat.

Przypomniała sobie czasy, kiedy Deryk próbował rozmawiać o sprawach leżących mu na sercu — o nowych metodach w medycynie, jak wpływać na chorą wolę, wzmacniać nerwy i osłabione władze umysłowe, uzdrawiać cierpienia, gorsze niż śmierć. Nie interesowała się niczem, nie

chciała rozumieć, słuchała nie słysząc i przy pierwszej sposobności wracała do swoich fatalaszek. Czyż inteligentne zainteresowanie się, sympatya dla jego dzieł i pracy nie była jedną z tych białych róż, o które Deryk prosił?...

Zeszła do sypialnego pokoju, przebrała się w wieczorną toaletę — w duszy pragnąc, by nie potrzebowała jechać — zjadła sama obiad; myśli jej biegały daleko. Teraz ósma, siedziała w buduaru, czekając, aż przyjdzie oznaczona godzina i wyruszy przez gwarne, oświetlone ulice w tłum gości Lady Ingleby. Jak byłoby inaczej iść teraz z Derykiem brzegiem morza, otulona w futra, poić się chłodem nocy i orzeźwiającym zapachem wody morskiej! A potem wrócić do ciepłego, jasnego pokoju, gdzie Deryk uszczęśliwiony, przemity, ubawiłby ją swemi staraniami i zabiegami, by zastąpić nieobecna Marsdon.

Ogień na kominku, któremu Jane dziś rano tyle bezwiednej poświęcała uwagi, zsunął się na ruszcie i groził zgaśnięciem. Doktorowa wstała, dorzuciła węgli, klękła na skórze i zapatrzyła się w jasny płomień. Myśl jej krążyła w kontemplacyi niedoszłego wieczoru. Oczy jej zlagodniały, rozczuliły się, usta rozchyliły, włosy płonęły w blasku ognia.

Jaka cudowna była miłość Deryka!...

Jane miała rację, gdy mówiła, że taki młody sercem, że zawsze nim będzie. Jak to Jane odgadła?... Tylko ona, jego żona, mogła wiedzieć, jaka to prawda.

Siedem lat małżeńskiego pożycia tylko więcej uroku i poezyi dodały miłości Deryka. Ile razy wyjeżdżała z nim w podróż, wracała pod nowem wrażeniem coraz pełniejszego szczęścia.

Dlaczego tak szybko zapomniała, jak jej z nim dobrze było? Dlaczego pozbawiła siebie i jego tych miłych godzin

w dniu dzisiejszym? Dlaczego nie stanęła przy nim, gdy tego pragnął?

Egoistka! głupia! sobą tylko zajęta!

Chciała być kochaną, lecz nie umiała wznieść się do szczęścia: kochania.

Przyjmowała jego miłość i uwielbienie jako rzecz należną sobie, nie dając ze swej strony nic wzamian.

Pochyliła głowę na rękę.

— Ach, chłopcze! szepnęła — nie Ja-ne ale *mój*! Teraz będzie inaczej! Gdy wrócisz, znajdziesz żonę, która cię zrozumie, której ręce pełne będą białych róż... gotową dać ci wszystkie.

Dzwonek frontowy zadzwonił. Podniosła się i zarzuciła płaszcz. Nie miała ochoty na raut Lady Ingleby, ale on myśleć będzie, że tam jest; zresztą obojętne, gdzie spędzi godziny do jego powrotu.

Stoddart przyniósł telegram i wyszedł cicho.

Odebrała go w radosnem przeczuciu.

Dobranoc od Deryka? Prawie zawsze jej przysyłał. Gdyby była pamiętała jemu posłać! Spojrzała na zegar. Dzie sięć po ósmej, za późno na wysłanie depeszy. Zrzuciła okrycie, wglębiła się w fotel, trzymając w rękę nieotwarty telegram. Chciała w pełni przeżyć i nasycić się radością, wywołaną słowem od niego. Gdy serce było gotowe, rozerwała pomarańczową kopertę i wyciągnęła złożony papier.

Jakaś długa wiadomość. Przeczytała raz. Przeczytała drugi raz. Siedziała chwilę bez ruchu, słuchając tik-tak zegaru. Potem spojrzała raz jeszcze i usłyszała jakiś przeraźliwy głos, zupełnie do jej głosu niepodobny, który przeczytał:

„Od komisarza policyi w Brighton. Z żalem donoszę, że Dr. Brand wypadł z samochodu na rogu Ring's Road. Zabity na miejscu. Proszę o telegraficzną instrukcję.“

Wstała — gdy dochodziła do drzwi, otworzyły się i Stoddart stanął przed nią, oznajmiając, że powóz czeka.

Kiwnęła mu z daleka.

— Nie będzie mi potrzebny dzisiaj, dziękuję.

Przeszła do sypialnego pokoju. Lampy elektryczne nad toaletą świeciły jasno. Zgasiła wszystkie. W ciemnościach doszła do pustego łóżka Deryka i położyła na nim telegram.

— O Boże! szepnęła — pomóż mi zebrać myśli... Nie jestem mądrą... mój syn uważa mnie za głupią, mój mąż za piękną, a Ty wiesz, że dla mnie moja piękność jest niczem więcej, jak nędzną szmatą. Ale teraz, w godzinie doświadczeń, o miłosierny Boże, pomóż mi myśleć!... Chciałabym sobie coś przypomnieć... Ach! krzyknęła prawie głośno — fala czasu nie wraca nigdy! Już za późno. O Boże!... za późno!... Moje róże gotowe dla niego...

gotowe za późno!... Co to dzieci powie-
działy? „Jeśli o cokolwiek prosić będzie-
cie w Imię moje, dam wam“, a Dick mówi,
że cokolwiek, to znaczy wszystko, czego
potrzebujemy.

— Ojcie niebieski! proszę Cię, cofnij
te sześć godzin, abym mogła z nim po-
jechać.

Rzuciła się na kolana.

— Boże, Boże... w Imię Jezusa... co-
fnij je, bym mogła z nim jechać.

Krzyczała i pakowała sobie koldrę
w usta, by jej nie usłyszano, nie znale-
ziono.

— W Imię Jezusa... Boże! Boże! cof-
nij te godziny... żebym mogła z nim jechać.

Rwała sobie włosy, okręcała je oko-
ło rąk — ból chronił ją od zemdlenia, po-
magał myśleć.

— Boże na niebie... w Imię Jezusa...
cofnij, daj, żebym mogła z nim jechać.

„Jeśli prosić będziecie o cokolwiek“

— cokolwiek znaczy wszystko, Dicku, nietylko religijne sprawy, ale wszystko, co potrzebujemy. O Boże! daj mi jeszcze sposobność... cofnij, cofnij... żebym mogła z nim pojechać!...

Kłęczała cicho, śmiertelnie cicho; serce łopotało jej w uszach, a pokój tańczył przed oczyma. Ale uczepiła się prześcieradeł i kłęczała dalej.

Drzwi frontowe trzasnęły, usłyszała kroki na schodach.

Jęknęła znowu: O Boże! Boże! Fala czasu... cofnij... cofnij...

Drzwi się otworzyły i zamknęły. Ktoś stanął w pokoju, oddychał szybko, nadśluuchiwał z napięciem.

Poczem głos doktora odezwał się:

— W ciemnościach kochanie? Dla czego? Co się stało?

I pokój zajaśniał światłem.

— O Boże! jęczała — O Boże! Fala

czasu... cofnij... żebym — mogła — z nim — być — razem!...

Wziął ją w ramiona, podniósł, położył na łóżko. Twarz mu się zmieniła.

Odkręcił jej włosy z zaciśniętych rąk i spostrzegł, ile ich leżało rozrzuconych na ziemi. Otarł krew z pokaleczonych warg, potem ukląkł, przytulił do serca i mówił szeptem:

— Flower, moja Flower! coś cię przestraszyło... Coś wstrząsnęło tobą... Ale już dobrze, moje serce, moje ukochanie. Wróciłem do ciebie. Słuchaj najmilsza. Taki byłem kontent, bo skończyłem konsultację wcześniej, niż myślałem i zobaczywszy, że mogę pochwycić pospieszny pociąg, zjadłem obiad na plaży, słuchaj Flower — nie szep taj, dziecko drogie, — słuchaj, co mówię.

Chciałem wpaść do domu, przebrać się i zrobić ci niespodziankę przyhy ciem

do Lady Ingleby, lecz zrobiło mi się zimno i zdecydowałem rozgrzać się najpierw w domu. Jeden z mych kolegów — doktor, który wcześniej wyszedł odemnie — zabrał mi palto i musiałem wracać bez palta. Niebyło czasu na reklamacye. I taki przeziębnięty wróciłem do mej żonki. Czy nie postara się rozgrzać mnie trochę? — Wesoły głos umilkł. Doktor pochylił się nad nią. Doświadczone oko lekarza spostrzegło od razu sztywniejące mięśnie na jej biednej, konającej twarzy. Przycisnął usta swoje do jej ust i zdławionym głosem:

— Ukochana! Na miłość Boską...

Wtedy Flower podniosła rękę i wskazała na łóżko. Zobaczył telegram. Wziął go i przeczytał.

— Wielkie nieba! zawołał. Wypadł i zabił się... Biedny chłopak! to on zabrał mi palto. Notes był w nim i paczka listów.

Potem pochylił się znów nad nią i szepnął tonem przerażonego szczęścia:

— Flower! aż tak kochasz?...

Zdziwienie w jego głosie i prawie chłopięca radość uratowały ją.

Przytuliła twarz do jego piersi i płakała, płakała, aż się wyplakała i uciszyła w ziemskim raju jego miłości.

Gdy nareszcie odzyskała mowę, szepnęła:

— Gdybym była pojechała...

— Cicho, moja jedyna, najdoskonalsza, miałaś zupełną słuszość.

Położyła mu rękę na usta szybkim uciszającym ruchem; potem wzięła jego rękę i pocałowała z wielką pokorą i czułością.

— Deryku, to twoja miłość była doskonałą. A ja zła i niegodna. Ale Bóg w Swem Miłosierdziu usłyszał modlitwy moje i dał mi jeszcze sposobność naprawienia tego. O, mój ukochany! mam tyl-

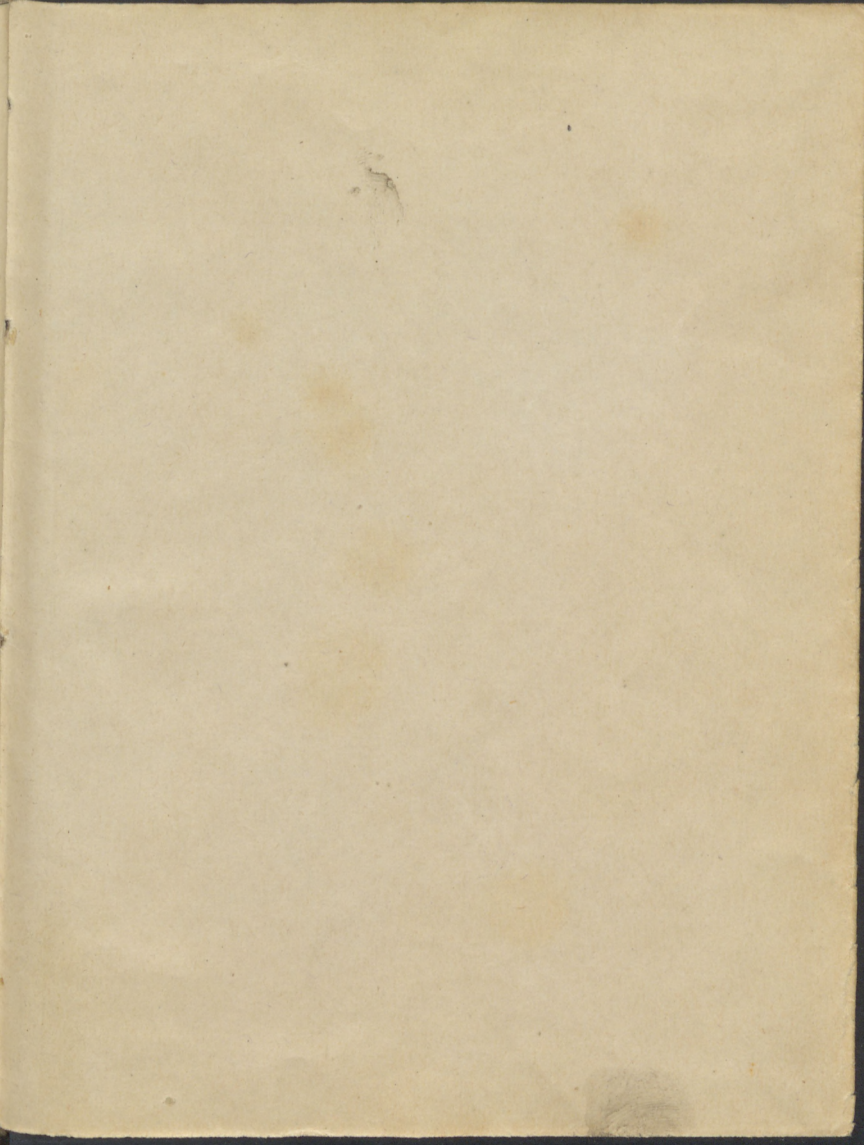
ko biedną, białą różę do ofiarowania —
 zwiędłą i rozpadającą się — ale cała
 jest twoją własnością. Daj mi sposobność
 Deryku — sposobność odwzajemnienia ci
 się. To wszystko, o co proszę, wszystko,
 czego pragnę — bo teraz naprawdę ko-
 cham.

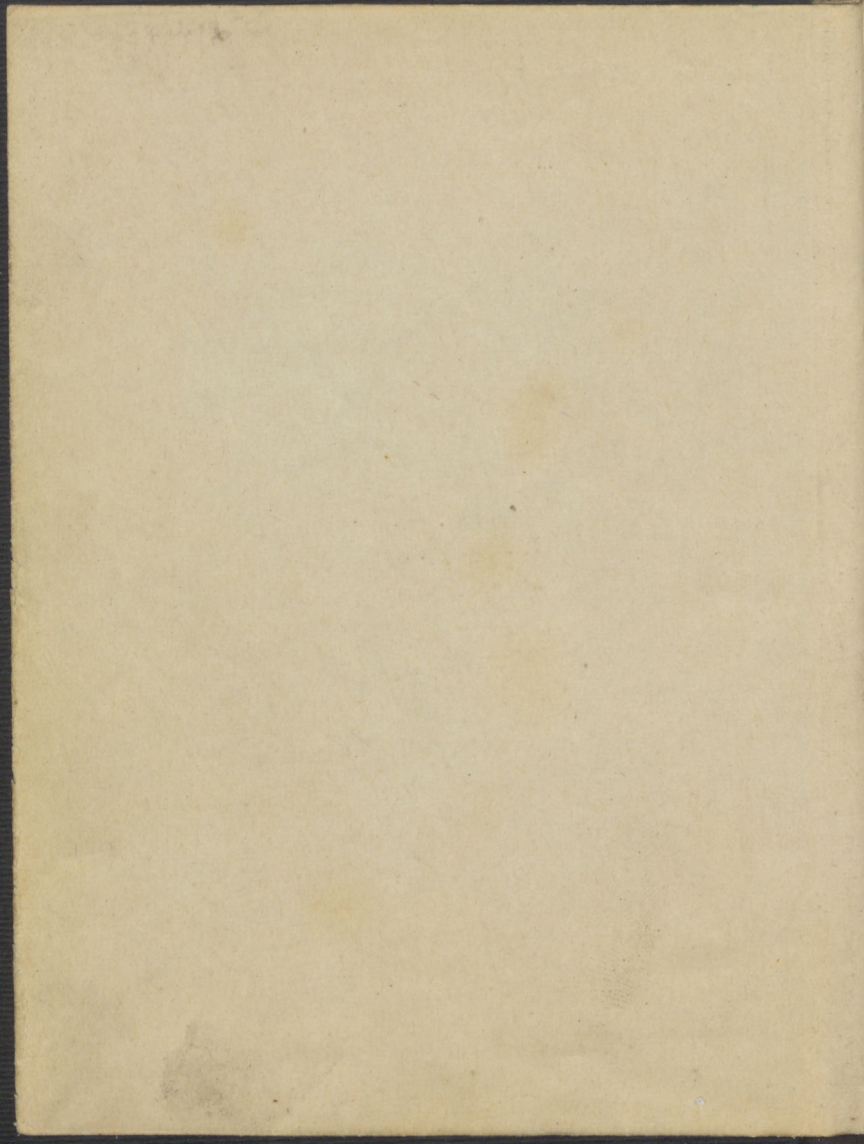
Doktór wiedział, że życie przyniosło
 mu wreszcie to, czego serce przez tyle lat
 łaknęło.

— Marya — wyrzekł — Marya!

Położył głowę na jej piersiach w na-
 głym uciszeniu, a białe jej ręce jak różę
 otoczyły go słodko i spoczęły na ciem-
 nych jego włosach.







10,00

736/2/56

~~80.-~~

Wojewódzka Biblioteka Publiczna
w Olsztynie



010-053939